



# ≡ Koci Pałac ≡

## III. Wizyta u pani balji

Potem Michalinka Mydlinka zaprosiła gości do siebie. Wypuścili też i Pikusia z klatki. Bo już zaczynał płakać. Pomaszerowali zgodnie do suteryny. Nikt na nikogo ząbków nie szczyrzył. Nikt nie dokuczał. Wszyscy byli bardzo szczyrzy, bo szli z Michalinką - Mydlinką.

— Pani Baljo — powiedziała uprzejmie Michalinka, — to są moi goście.

Nim Balja zdolała odpowiedzieć, zawył wiatr za oknem ze śmiechem:

— Coście wy za goście?  
Zaraz się wynoście!

Ale nikt tego warjata nie słuchał.

Ukloniła się im Balja, wielka, tęga, godna gospodyni.

Aksamitka wskoczyła na okno. Bała się lapek zamoczyć. Bracia jamniki biegały po izbie. Kąty witały nosami. Wiewiórka wesoło skakała. Jakby była w salonie, a nie w pralni. Kanarek usiadł na ramieniu Michalinki i całował ją dziobem w usta.

— Niech nam pani co opowie, pani Baljo! — prosiła Michalinka.

— O ja jestem doświadczoną osobą! Z niejednego domu brudy prałam!

Zrobiło się cicho w pralni.

Tylko kawałek mydła pienił się ze złości, bo nikt na niego nie patrzył.

— Jeśli chcecie to opowiem wam o świecie — zatrzeszczała Balja.

Mimo świetnego wyglądu, miała suchoty. Rozsychała się!

Wszyscy byli bardzo ciekawi. Nie



wychylali nigdy lebków za „Koci Pałac“.

Nie wiedzieli, co się dzieje na świecie.

Pani Balja wzięła za boki. Poczęła opowiadać istne cuda. O pudełkach, co po ziemi całkiem same jeżdżą. O skrzynkach, co same pięknie grają. Niech się w nich tylko lampki zaświecą. O pudełkach, co jak kanarek w powietrzu latają. Prędej nawet od naszego Pikusia.

— Ach, żeby to wszystko zobaczyć! — mrukneła kotka Aksamitka.

Zdawało się jej, że kielbasę przy nosku jej powiesili.

— Nie wolno wychodzić nam z „Pałacu“. Domu pustego musimy pilnować — warknęły obowiązkowe jamniki.

Tylko Pikuś nie był ciekaw. Gryzunia też nie tęskniła do miasta. Do lasu to inna rzecz! Ale do miasta?

Pikuś skubał pieszczotliwie włoski Michalinki. Były takie żółte, jak jego piórka.

#### IV. O chłopczyku - czarowniku i niezwykłej podróży

Pozegnali panią Balję i wracali do siebie. Michalinka szła z nimi. Aż tu na polu wiatr. Zły był, że go nie wpuścili do pralni. Rechotał, jakby miał czkawkę. Podrygiwał i wybijał pięściami szyby.

Już dawno złościł go Pikuś. Nic mu nigdy nie mógł zrobić. Do klatki nie miał dostępu.

Ale teraz chwycił go za kark zimną ręką. Potem podrzucił do góry, pokręcił z nim młynka... Jak dzieci bawią się w drobną kaszkę.

I rzucił z całej siły daleko!

Wszyscy stanęli przerażeni.

Wiatr śmiał się.

— Hau, hau, hau!

Wiatr kanarka zwiął!

Zaskomlały zgodnie pieski:

— Pi, pi, pi!

Gdzieś, Pikusiu, ty!

Pisnęła Gryzunia żałośnie:

— Mru, mru, mru...

Niema ptaszka tu.

Mruknęła złowieszczo Aksamitka. Tak, jakby wymrukiwała mowę pogrzebową.

— Trzeba go szukać — zagadywała Michalinka - Mydlinka. — Może jest niedaleko?

Jamniki obwąchiwały trawę. Gryzunia skoczyła na drzewo i piskiem nawoływała Pikusia. Aksamitka została przy dziewczynce.

Wrócili smutni. Kanarek zginął zapewne waleczną śmiercią. Nie było go nigdzie. Kotka otarła fałszywą łzę łapą.

— To trudno! — westchnęła, ale i jej zrobiło się żal kanarka, gdy zobaczyła smutek Michalinki. Ta wyszeptwała w zamyśleniu:

— Znam chłopczyka czarownika.

On nam może dopomoże?

Na sąsiednim podwórzu siedział chłopiec. Włosy miał, jak garście wysypane go popiołu. Koszulkę, jak szmatę do podłogi. Wyrzebywał ze śmieci pudełka od zapatek. Związywał je kawałkiem nitki, wyprutej z koszulki. Pudełka wyglądały, jak czerwone wagoniki.

Michalinka opowiedziała mu o zmarł-wieniu.

Chłopczyk zamyślił się

— Trzeba go szukać tramwajem — wyrzekł z powagą.

— Do tramwaju daleko! My nie mamy pieniędzy na bilet — westchnęła dziewczynka.

— Tutaj macie tramwaj! — powiedział chłopiec z dumą. — Właśnie w tej chwili wypuściłem go z fabryki. — I nagle pudełka niezmiernie urosły. Stały się wielkie, jak prawdziwy tramwaj.

Michalinka wsiadła do wagonu. Na kolana - wzięła Aksamitkę i wiewiórkę.

Ale że to był przedział dla kobiet, więc jamniki musiały wsiąść do innego wagonu.

Aż tu toczy się przedziwno szpulka do nici.

— Jestem auto! — woła. — Zawiozę was prędzej.

Ale już było zapóźno. Tramwaj zadzwonił. Potknął się o puszkę od sardyniek. Pojechali.

— Fiu, fiu! Co za tramwaj! — drwił wiatr. — Jednym palcem bym przewrócił.

Ale już za długo hulał i osłabł.

— Hi, hi, hi! — piszczały wszystkie myszy polne. — Ależ to żałośne!

Pikusia nie było nigdzie.

— On na pewno lata w powietrzu — mruknęła kotka. — Na ziemi nie mamy go co szukać!

Wysiedli z tramwaju i patrzyli w niebo. Aż ich szyje zabolęły, od wyciągania głowy.

A tramwaj obraził się. Uciekł na swój śmietnik. Wszyscy przerażili się.

— Co my teraz zrobimy? — piszczało, warczało, miauczało i płakało.

— Nie martwcie się! — zafurgotało coś nad nimi.

Patrzają... dziwny ptak.

Skrzydła ma srebrne. Na nich czerwono-białą kokardkę.

— Samolot! — krzyknęli wszyscy razem. Znali go dobrze. Widzieli nieraz z balkonu, jak bujał w powietrzu.

Ale to nie był ten sam. To zapewne jego brat. Ten niedawno dopiero wyfrunął ze sklepu z zabawkami.

— Wsiądźcie do mnie! — zaprasza serdecznie. — Już znudziło mi się latać bez pasażerów. Dostyc mam lotów po podwórzu i pokoju. Kupił mi mały Wojtuś od pana doktora. Uciekłem mu przedko.

Całe towarzystwo wpakowało się do samolotu.

Dobrze im było wszystkim razem. Tylko za Pikusiem tęskno.

Samolot kichnął z radości. Rozpedził się i latał po ziemi.

Potem szarpnął się i latał w powietrzu.

Ziemia taka mała, jak zabawki dziecinne. Koleje, auta, tramwaje mniejsze, niż pudełka od zapalek.

Kotkę aż łeb rozbolał ze strachu. Jamniki rozchorowały się na żołądek. Gryzunia popiskiwiała cichutko. A Michalince-Mydlince zimno było.

Zlitował się nad nią obłok i okrył swym futerkiem. Wyglądał jak puszysty biały kożuszek.

Gwiazdki poczęły świecić. Laly miód do buzi dziewczynki.

Aksamitka oblizywała się przez dwie godziny. Nawet pieśki wyzdrowiały.

Przelecieli cały kraj, a kanarka nie było!

— Już trzeba wracać do domu — terkoce samolot. — benzyna się kończy.

#### V. Wielki bal pralni

Wylądowali na trawnik przed domem. Koci Pałac stał tak, jak codzień. Tylko uśmiechnął się wszystkimi oknami na ich widok.

Patrzą, a tu Pikuś w klatce siedzi i ziarenka dziobie.

— A ty niegodziwczel! Gdzieś ty był tyle czasu! — warknęły jamniki i kotka.

Ale udawały tylko gniew. Już nie umiały się nawet gniewać.

Po podróży z Mydlinką zupełnie się zmieniły. I Pikusia inaczej kochać zaczęły. Bo najwięcej kocha się tego, kogo się utraci.

Michalinka ucałowała ptaszka w główkę i mówi:

— Całe szczęście, że jesteś. Cały wspaniały „Koci Pałac” byłby smutny, i

nie wart bez ciebie. — A wszystkie zwierzęta potaknęły zgodnie.

— Wiatr rzucał mną, a potem cisnął na balkon. Widziałem, że wybieracie się w jakąś podróż. Woląłem, byście wzięli mię ze sobą. Ale nie słyszeliście.

Z tej radości był ogromny bal w pralni. Zaproszono chłopczyka czarnownika z sąsiedniego śmietnika. Przyjęcie było okazale.

Kotka przyniosła szklanek mleka. Psy porwały cały salceson. Gryzunia uszkadala trzy kostki cukru i pięć orzechów. Pikuś przyniósł pudełko ziarenek.

Orkiestra była znakomita. Mydło waliło w Balję jak w bęben. Pogrzebacz rozbił w zapale nos piecowi.

A tańce były nadzwyczajne.

W pierwszą parę Aksamitka z Pikuśiem. Gryzunia z Klapouszkiem i Krzywonóżkiem we troje. A Mydlinka-Michalinka z chłopczykiem-czarownikiem. Potem się wszyscy całowali i przepaszali. — Wybacz moje dawne niechęci — powiedziała kotka do wiewiórki i polizala ją w ogonek.

Ukloniły się sobie głęboko.

Wszyscy się pokochali, bo ich tego nauczyła mała Mydlinka z suteryny. Cały „Koci Pałac” był wesoly i szczęśliwy. Zwierzęta uczyły praktyczności Mydlinkę i wychowały ją na znakomitą gospodynię. Chłopiec ze śmietnika został sławnym inżynierem. Miał własny samolot i własne auto.

Pobrali się z Michalinką - Mydlinką i kupili „Koci Pałac”. Irena Szczepańska



Całe towarzystwo wpakowało się do samolotu

# Wyprawa

(Dokończenie)

Ale pan leśniczy idzie za psim głosem, latarkę zaświecił, rozgląda się zaciekawiony. Oho, coś leży w mchu... Rex to coś nosem trąca, pogląda w stronę pana i skomli żalosiwie.

— Dziecko! Chłopiec jakiś, obcy, leży rozgorączkowany na mchu.

— Nie miała baba kłopotu... — mruczy pan leśniczy, ale podnosi chłopca i niesie do domu.

Biedactwo, gorące ręce zarzucił panu leśniczemu na szyję i szepce:

— Nie płacz, mamusiu... nie płacz... to nic... wróć...

A wąsata mamusia jest trochę zła i trochę wzruszona. Sześcioro dzieci w domu, a tu po lasach dzieci jeszcze zbiera, jak grzyby. Żona pewno zachwycona nie będzie, ależ przecież trudno tak go na deszczu zostawić w lesie...

Niby to lekki taki mały chłopiec, a przecież już dobrze ramiona bołą.

Uf! Nareszcie leśniczówka.

Na tle oświetlonej sieni widać dziecięce główki i słychać radosne głosiki:

— Tatus! idzie! Mamusiu! Tatus! już idzie.

— Bardzo cię złało, tatusiu?

— Rex! Rexuś...

— A co ty niestiesz, tatusiu?

— Sarnę, czy co?

— Dziecko...

— P-awdziwe dziecko!?

— Mamusiu! Mamusiu! prędko!

— Mamusiu! Tatus! przyniósł prawdziwe dziecko.

Teraz zainteresowała się wypadkiem i pani leśniczyna. Już rozwarła usta, by coś powiedzieć niezbyt gościnnie, ale przerwał jej głos męża:

— Pościel-no Kazikowe łóżeczko, znalazł Rex tę biedotę w lesie, na mchu, roz-

gorączkowany, chory...

— Dzieci się jeszcze zaraża...

— Nie bój się... Przecież go tak nie można było zostawić...

Zanieśli Stacha do łóżeczka, ułożyli, napioli gorącą herbatą z koniakiem, a pan leśniczy plecak rozworzył i zaczął go przeszukiwać, myśląc, że natrafi na jakiś ślad przynależności małego wędrowca. Zdziwił się niezmiernie, znalazłszy dwie szczołki do butów, stary rewolwer, pudełko pasty, kawałek kielbasy i mapę, na której czerwona linja biegła od Krakowa i fantastycznie obejmowała świat cały, by do Krakowa powrócić.

— No i co, Michale?..

— A no, zdaje się, smarkacz zwiął z domu, bo sobie jakąś podróz ubzdurał, popatrz-no tę czerwoną linję! Światowy podróżnik. Ani chybi!

I pan leśniczy śmiał się i śmiało się sześcioro małych leśniczątek i nawet Rex ogonem kiwał i wargi podnosił w uśmiechu. Tylko pani leśniczyna się nie śmiała, cichutko poszła do drugiej izby, poprawiła Stasiowi podszkudę i iza jej w oku rozbyśla, gdy szepnęła:

— Ej, płacze tam twoje matczyśko, płacze... Ty, nic dobrego!

Zaraz rano pan leśniczy poszedł na posterunek dać znać o znalezionym w lesie chłopcu a na drugi dzień przyjechała splanakana mamusia i zabrała wciąż jeszcze mającego synka do domu.

I długo nasz podróżnik chorował.

Odwiedzała go cała szkoła, bo każdy z chłopców czuł się trochę winnym i każdy żałował kolegi. A podróz...

Staś czasem marzy jeszcze o podróży, ale wybiera się dopiero kiedyś, gdy dorośnie.

KONIEC

*W każdym liściku, pisanym do „Krasnoludków“, musicie dopisywać swój adres—wtedy szybciej otrzymacie odpowiedź.*

*Odpowiedzi na listy znajdziecie w następnym numerze.*

# Bohaterka amerykańska

Mała Jennie Carey powracała właśnie ze szkoły, niosąc w ręce torbę z książkami. Podążała ochoczo do Muckford, tam bowiem mieszkali jej rodzice. Jennie była córką dróżnika, pełniącego służbę na linii kolejowej, biegnącej wzdłuż rzeki Ohio. Jako dziewczynce rozważnej i posłusznej, przysługiwało jej prawo korzystania z tej pięknej drogi. A trzeba dodać, że mała Jennie, jakkolwiek miała dopiero lat dwanaście, to jednak odznaczała się roztropnością i przezornością. Nie zdarzało się nigdy, aby nie pamiętała o tem, o jakiej porze i jakim torem podążać ma pociąg. Przestrzegwała też ściśle nakazu rodziców i szła zawsze ścieżką po odpowiedniej stronie toru.

Wspomnianego letniego popołudnia, gdy Jennie powracała ze szkoły i podziwiała piękną okolicę, przypomniała sobie nagle, że za chwilę przejeżdżać będzie nadzwyczajny pociąg w kierunku Chicago, gdzie właśnie otwarto Międzynarodową Wystawę. Myśl ta ucieszyła ją bardzo, gdyż nadejście pociągu stanowiło dla niej pewnego rodzaju rozrywkę, pociągi bowiem, podążające na Wystawę, przepelnione były podróżnymi różnej narodowości. Nie byli to zwykli podróżni, którzy codzień przepelniali wagony kolejowe, odziani skromnie, oddający się czytaniu dzienników lub porażeni w zadumie; byli to natomiast podróżni o twarzach wesołych, na których malowało się zadowolenie w przecuciu tych wszystkich miłych niespodzianek, oczekujących ich na Wystawie w Chicago.

Jennie z podziwem spoglądała na przejeżdżający pociąg i nie spuszczała go tak długo z oczu, dopóki nie znikł woddali. Dnia tego doszła właśnie do miejsca, w którym miały ją zazwyczaj pociąg pośpieszny, zdażający w kierunku Chicago. Niemało ją jednak zdziwiło to, że nie usłyszała zwykłego gwizdu lokomotywy, sygnalizującego zbliżanie się pociągu do niezliczonej ilości mostów, rozpiętych nad głębokiem korytem rwącej rzeki. Tłumaczyła sobie to tem, że niewątpliwie pociąg jest spóźniony, albo też ona wcześniej powraca do domu. Wtem ponad korytem rzeki ujrzała gęste kłęby dymu, w miejscu, w którym miał przejeżdżać pociąg.

Cóż to się stać mogło? Przyspieszyła kroku, dotarła do mostu, wyjrzała, opierając się o poręcz i dostrzegła długie,

ogniste języki błyskające pośród dymu, obejmujące już przeszło, podtrzymujące most po przeciwległej stronie. Usłyszała trzask palącego się drzewa i zadrzała na odgłos huk, wywołanego przez spadającą belkę. Lęk przejął małą dziewczynkę na myśl, że pociąg już tak blisko, przewidywała ona bowiem, że most, objęty do połowy pożoga, nie przetrzyma ciężaru pędzącego pociągu i niechybnie runie do rzeki, porywając ze sobą setki podróżnych, których pograżą wezbrane fale. Czyhała na nich nieunikniona zagłada i wydawało się, że wszelkie przeciwstawienie się jej jest niemożliwe.

Prerażona Jennie rozglądała się dookoła, jakby w poszukiwaniu pomocy. Ale do kogo zwrócić się o nią i w jaki sposób? Nie miała, niestety, pod ręką ani gwizdawki, ani rogu myśliwskiego, których dźwięk byłby mógł przyluszyć suchy łomot pędzącego pociągu. Nie miała też ani chorągiewki, ani kawałka płótna, ani jakiegokolwiek sygnału, którymy mogła była zwrócić uwagę maszynisty. A pociąg zbliżał się coraz bardziej. Zatraskana Jennie, cała drżąc, poczyniła zwołna różnicą stukot kół pędzących po szynach: katastrofa była nieunikniona!

Zamajaczyła woddali lokomotywa, gwizd rozdarł powietrze, gwizd, którym maszynista oznajmia zbliżanie się pociągu do mostu. Gwizd ten przeszył do głębi oszołomioną dziewczynkę i wyrwał ją z bezruchu, w którym zamarła.

Nagle przypomniała sobie, że dróżnicy są zobowiązani na wypadek niebezpieczeństwa wywieszać czerwoną chorągiewkę. Myśl ta natchnęła ją do czynu. Polecając swe zamierzenia opiece Boskiej, przystąpiła błyskawicznie do działania. Odrzuciła torbę z książkami i nagłym ruchem zdjęła swą czerwoną spódniczkę, a nie zważając na grożące niebezpieczeństwo pobięła co tchu ku gorejącemu mostowi. Zatrzymawszy się na przyczółku, podniosła momentalnie w górę swą czerwoną spódniczkę i zaczęła powiewać nią, niby sygnalizacyjną chorągiewką.

Dobry Bóg przychylił się do jej życzenia. Maszynista pociągu dostrzegł bowiem nikłą postać dziewczynki, jakkolwiek ona wydawała się być zaledwie mikroskopijnym punktem na tle rozległej równiny. Dowiedział się, że to niewątpliwie musi być Jennie, która niemal codzień wi-

dywał, gdy przechodziła ścieżką wzdłuż toru. Zrozumiał, że znaki, dawane przez nią, muszą być zapewne przestrogą przed grożącym niebezpieczeństwem; odruchowo zahamował lokomotywę, powodując zatrzymanie się pociągu w odległości zaledwie pięciu metrów od Jennie.

Pociąg, raptownie wstrzymany, uległ silnemu wstrząśnieniu: podróżni zaskoczeni i przerażeni rzucili się do okien, aby dowiedzieć się o przyczynie wstrząsu.

Mała Jennie na widok ocalonego pociągu odzyskała zwykłą sobie pogodę ducha. Opowiedziała czempredcej maszyniście o pożarze mostu, wskazując mu na gorejące przęsła.

— Co się stało, co się stało? — zapytali tłoczący się podróżni, a każdy z nich przemawiał innym językiem.

— Zawdzięczamy ocalenie życia tej oto dziewczynce, Jennie Carey — zawołał maszynista, a uściskawszy serdecznie małą bohaterkę, pokazał ją podróżnym. — Gdy-

by nie ona, gdyby nie jej bohaterstwo, jej przytomność umysłu, to większość z nas znalazłaby śmierć w nurtach wezbranej rzeki — i wskazał ręką na pałacy się most.

Oczy wszystkich podróżnych spoczęły na pożogą objętym moście. Nawet ci z podróżnych, którzy nie rozumieli słów maszynisty, domyślili się ich znaczenia i zapragnęli objawić podziw dla bohaterstwa małej Jennie. Ona jednak, przeświadczona, że cudowne ocalenie pociągu nie jest jej zasługą, wymknęła się z objęć maszynisty i podążyła ścieżką ku domowi.

Pośród sześciuset podróżnych, jadących tym pociągiem, wielu było Francuzów, którzy, powróciwszy do ojczyzny, opowiadali o bohaterskim czynie małej Jenny Carey.

W maju roku 1894 prezydent Republiki francuskiej Carnot udekorował w imieniu swej ojczyzny małą bohaterkę amerykańską medalem Legji honorowej.

I. Falorsi-Sistini.

## Jesienne nudy

O! jak mi nudno! Deszcz pluszcze na dworze,  
jak to zawyczaj jest w jesiennej porze.  
Ni wyjść gdziekolwiek: wszędzie pełno błota...  
Aż do nauki odbiega ochota.

By czas umilić sobie choć troszeczkę,  
wybieram jedną z mej szafki książeczkę.  
Czytam o krajach, pełnych blasku słońca,  
w których wiosenna pora trwa bez końca.

W mojej książeczce błyszczy świat od złota,  
więc zapominam, że na dworze słońca.  
Książka wyrwała mię z kraju szarugi,  
wieczór jesienny nie zdał mi się długi.

Książka jest lekiem na wszelkie me nudy,  
na wszelkie smutki i życiowe złudy,  
więc się też do niej uciekam w potrzebie,  
w niej zawsze wiosnę znajduję dla siebie.

Artur Lorek

---

*Już za tydzień spotkamy się w Teatrze Polskim, który 1 grudnia wystawia piękną bajkę. Bajka ta nazywa się „W szponach Czarownicy“. Przychodźcie wszyscy, bo bajka będzie bardzo ciekawa. Krasnoludki też przyjdą.*

---

# Fik

Tadziuś dostał od wujka pieska. Piesek nazywa się Fik. Ma dopiero 4 miesiące ale jest gruby jak baryłka.

— Chodź, Fikuś! — mówi mu Tadziuś.  
— Zobacz moje zabawki. Ale Fik cofa się i warczy:

Wrrr... wrrr...

Bo za łóżeckiem Tadziusia widzi konika na biegunach. Czarnego konika, który ma prawdziwą skórę i grzywę, i ogon.

— Wrr... wrr... — warczy piesek. — Nie rusz mnie, czarny zwierzak! Ale konik stoi jak stał. Jest przecież drewniany. Więc Fik przestał się bać. Teraz skacze koło konika i zaprasza go do zabawy.

Ale konik jakby nie widział. Stoi jak stał. Fik się obraził.

— Haul haul — szczeka prosto w nos konikowi. Napewno mówi mu niegrzeczności.

A konik nic. Stoi jak stał.

Wtedy Fik hop! cap! za ogon i... I urwał ogon.

Tadziuś dał mu za to mocnego klapsa i ogon odebrał. Kazał pieskowi iść leżeć.

Fik leży i myśli:

— Co za dziwny zwierzak! Proszę go. Złoszczę się. Nic. Ogon mu urwałem. Nic. Stoi jak stał.

Głuptas Fik. Zaraz poznać można, że ma dopiero 4 miesiące.

J. Duszyńska

## Jak to z tranem było

— Ja nie lubię tranu wcale, ja go pić nie będę stale — mówi Jędrzek do Marysi.

— To niedobre — wciąż kaprysi.

— Mój Jędrusiu, nie wiesz chyba, że tran robią z wieloryba.

— Z wieloryba? — Jędrzek powie.

— Niech Marysia mi opowie. —

Więc Marysia obok siada, Jędrusiowi opowiada:

— Wielki taki, w morzu pływa i wieloryb się nazywa,

a pod skórą czarną, lśniąca, zapas tłuszczu ma niemaly. Z tego tłuszczu wytapiają tran dla dzieci doskonały. Bo kto tran codziennie pije, nikt go z chłopców nie pobije. Rośnie duży, rośnie zdrowy i jest silny, jak wieloryb. — Jędrzek słuchał... i wesoło wypił tranu łyżkę sporą.

H. Ożogowska

## Wieczorkiem

Nie bój się, nie bój, dziecioco, tam niema strachów na dworze. To nocka za oknem chodzi i gwiazdki zapala Boże.

Wnet księżyc wyjdzie pyzaty, jasno nad ziemią zaświeci, przez szybki zajrzy do chaty, czy też posnęły już dzieci.

Myszki na strychu chroboczą.

a stara mysia ich mama

bajkę im długą opowie

i będzie mówić do rana.

i stawa cicho, cichutko.

Noc weszła już do izdebki za drzwiami stoja jej trepki, a drzwi zamknięte są kłódką. Na małym świętym obrazku, na rękach świętej Matejki w oliwnej lampki poblasku zasnął Jezusek maleńki. Zmów więc modlitwę, dziecioco, połóż się w miękkie wezwłowie, a mysia mama myszatkom bajkę tymczasem opowie.

W. Maticka

# Przedstawienie

Las. Ognisko. Żyć, nie umierać! Przy ogniu harcerze. Wilczków cała gromada. Jeden zastępowy trochę starszy, ale tylko trochę. Gawęda.

— Wicie co — poddaje ów starszy, — zrobimy sobie małe ćwiczenie gramatyczne.

— Ech! Ćwiczenie. Też wymyślił.

— I to jeszcze gramatyczne!

— To dobre w klasie, ale nie na wybieżce. Też coś.

Zastępowy był uparty. Ach ci zastępowi!

— No, czekajcie — powiada — weźmy na przykład wyraz, p r z e d s t a w i ć...

— No i co będziemy przedstawiać?

— Nic nie będziemy przedstawiać, tylko... tylko weźmiemy nożyk i odetniemy temu słowu jego początek. Gramatycznie to się nazywa przedrostek czy jakoś tam. Mniejsza z tem! Odetniemy „przed“, zostanie nam już tylko „stawić“.

— No, i co z tego? Et, nudzisz, bracie!

— Nic, czekaj, daj mi skończyć! Przekonasz się, że to wcale nie takie nudne, jak ci się zdaje. To słowo „stawić“ nie lubi samo chodzić po świecie. Można wprawdzie powiedzieć — „stawić się“ w sądzie, ale powiadam wam, że to słowo samotności nie lubi i ciągle owe przedrostki chwytają. Dajmy mu więc jakiś inny, podobny do tego, jaki miało, np. „prze“. „P-r-z-e-s-t-a-w-i-ć“. Było „przedstawić“, zrobiło się „przestawić“. Słowo prawie to samo, a znaczenie inne. A że tych przedrostków jest dużo, więc i znaczeń możemy mieć wiele. Ot np. „wst-a-w-i-ć“ albo „ob-s-t-w-i-ć“. No, chłopcy, mamy już cztery słowa. Kto da więcej?

Chłopcy popodnosili głowy i dalejże rzucać jeden przez drugiego:

— Dostawić żywność do miasta.

— Ustawić książki na półce.

— Zastawić wodę w młynie.

— Nastawić zegarek.

— Zgoda, ale można i mięso w garnku na rosół. Osiem już słów!

— Podstawić nogę komuś.

— Poco nogę? Lepiej stołeczek dziadkowi pod nogi. Dziewięć.

— Postawić komuś porcję lodów — krzyczy najmłodszy zuch.

— Piękna myśl, ale w lipcu i w mieście, a teraz mamy listopad i las. Dziesięć!

— Rozstawić pionki na szachownicy. Odstawić buraki do cukrowni. Wystawić obraz na wystawie — rozległo się z kilku stron naraz.

— Brawo! Tylko nie tak prędko, bo się nie doliczę. Ile to? Trzynastcie. Prędko czternaste słowo, bo utknijemy na feralnej trzynastce.

— Przystawić szafę do ściany.

— To już było.

— Nie, nie było. Doskonale pamiętam. Było „przestawić“ i „przedstawić“ ale nie „przystawić“.

— Racja. Czternastcie. No, panowie, kto dociągnie do mendła?

— Z e s t a w i ć rękę, jak się komu złamie.

— Brawo! Tylko poco ręce łamać? Już wołę cyfry na tablicy zestawiać jedna z drugą. No, może jeszcze ktoś coś powie?

— Nadstawić głowy.

— Czemu nie, jeśli warto, to trzeba i głowy nadstawić. Można i rękaw nadstawić, jak za krótki, choć jeśli niema go czem nadstawić, to lepiej go zostawić w spokoju. Widzicie, przez jeden tylko taki drobny przedrostek zrobiliśmy siedemnaście wyrazów, z których każdy ma nieraz po parę znaczeń. No, a może teraz spróbujemy inny jakiś wyraz „liczyć“ i „wylizać“?

K. Konarski.

Może nasi Czytelnicy zabawiliby się w podobny sposób?